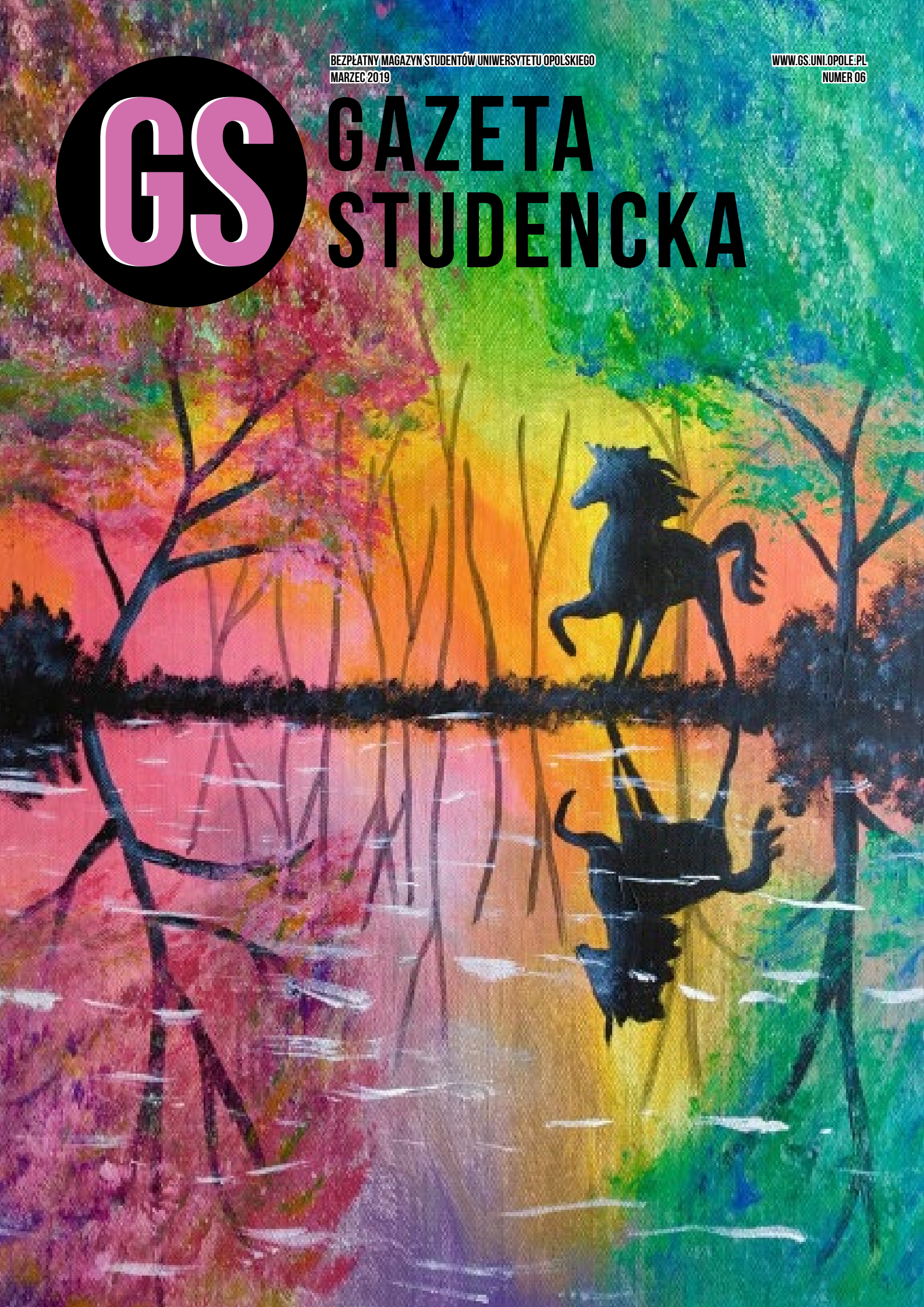


BEZPŁATNY MAGAZYN STUDENTÓW UNIwersYTETU OPOLSKIEGO
MARZEC 2019

WWW.GS.UNI.OPOLE.PL
NUMER 06



GAZETA STUDENCKA



WSTĘPNIAK

A bylbym cichym pomiędzy cichemi

Ale „goronc”. W marcu jak w garncu. Klimat się ociepla. Trawa kwitnie. Usiadłoby się w słońcu między zajęciami. Na trawie lepiej nie, bo znowu nie wyrośnie odpowiednio. Niestety – ławek dalej brak.

Za to u nas pełno – różnorodności, rozkwitających osób, tekstów, przemysłów. Nic tylko czytać. Bo czemu by nie – skoro ustawa pozwala i nikt się nie obraża na to, że mamy piękne okładki, teksty itd.

Nachodzi mnie takie przemyślenie, że w gąszczu tych wielu spraw, zabiegania, usosów, zaliczeń, wykładów, kursów zmiennych, seminariów, dziekanatów, telewizjów, radiów, wszystkiego co na naszej uczelni – że my jesteśmy takim kwiatkiem, który można zerwać raz na miesiąc i który, co najważniejsze, jest tak chętnie przez Was zrywany.

Dziękujemy Wam za to – i jest to jak najbardziej szczerze. Wszyscy bez cienia wątpliwości uważamy, że wiosna to świeżość, to nowa jakość. Ja zawsze wiązałam ją ze szczerością jako tą najlepszą podstawą. Dzięki takim fundamentom, w takim „domu”, łatwiej utrzymać to ciepło.

Ciepło robi się od słuchania muzyki – niezależnie jakiego rodzaju. Doktora Sławomira Kuźnickiego pociągają najbardziej rockowe brzmienia. W rozmowie z nami tłumaczy, dlaczego poezja jest rozgrzewająca oraz co najmocniej wywołuje u niego gorące uczucia.

W „Pokaż się!” wspaniali i gorący chłopcy, którzy nie boją się działać.

Kwiat Jabłoni sprawia, że jest gorąco na sercu – a gdy ktoś miał okazję pić trunku o tej samej nazwie (skąd właśnie nazwa zespołu), to cieplej mu było na innych narządach wewnętrznych.

Gdy jest cieplej, to nic tylko wybrać się do ... Muzeum Wsi Opolskiej, o której piszemy w naszym cyklu dla osób spoza Opola (i Polski) #MeetMyOpole.

Przyjście wiosny prognozuje, że można czytać książki (ale i Gazetę Studencką) na ławce... w parku – jak to śpiewała niegdyś Formacja Nieżywych Schabuff. Jeśli nie chce Wam się czytać większości prasy – Jakub Górka jak co miesiąc przygotował najciekawsze kąski ze świata publicystyki plus komiks.

Marzec zawsze kojarzył mi się z koncertami – wszak Zimowa Giełda Piosenki, coraz więcej koncertów plenerowych, promujących nowe płyty lub rozpoczynających wiosenne trasy. I jeśli w tej gazecie podczas moich „rządów” ma być widoczne moje piętno, to właśnie poprzez muzykę. To wydanie jest tego żywym dowodem – co rozgrzewa mnie najbardziej.

A Wam dzięki czemu robi się gorąco?

Marek Wiench
Redaktor Naczelny

*Musisz tylko zechcieć
Zabronić myślom
Tłumić serce*

MARZEC 2019 - SPIS TREŚCI

02	04/05	8	10	12	14	16
WSTĘPNIAK	KWIAT JABŁONI	STREFA KOMFORTU	POZNAJ MOJE OPOLE	WYCINKI Z PRASY	TEATR	REKLAMA
03	06/07	9	11	13		15
POKAŻ SIĘ	POZNAJ SWOJEGO WYKŁADOWCĘ	KSIĄŻKOWO	RAFKULTURA	MĘSKIM OKIEM O FILMIE	MARKOWY FELIETON	

REDAKCJA



GAZETA STUDENCKA

www.gs.uni.opole.pl

NUMER 06

MARZEC 2019

ROK AKADEMICKI 2018/19

REDAKTOR NACZELNY: Marek Wiench

SEKRETARZ REDAKCJI: Jakub Górka

SKŁAD/ŁAMANIE TEKSTU: Patryk Tas

OKŁADKA: Natalia Lichwa

GRAFIKI: Natalia Lichwa

DZIENNIKARZE: Paulina Boron, Agnieszka Czerwińska, Robert Radziej, Michał Perlik, Jakub Górka, Marek Wiench, Arkadiusz Dobosz, Patrycja Drabik, Kinga Opolony, Rafał Kalinowski

FOTOGRAFIE: Grzegorz Gajos, Marek Wiench, Justyna Adamus

KOREKTA: Kinga Opolony, Paweł Cymkiewicz, Anna Kędra, Patrycja Drabik, Natalia Rynio, Nela Rybak, Ala Majchrzak

KONTAKT

www.gs.uni.opole.pl

gazetastudenckaUO@gmail.com

Instagram /gazetastudencka

Facebook /gazetastudenckaUO

WYDAWCA



Uniwersytet Opolski

pl. Kopernika 11a

45 - 040 Opole

POKAŻ SIĘ!



Dariusz Piechaczek

Student II roku prawa na naszym uniwersytecie. Jest starostą roku, Sekretarzem Generalnym w Europejskim Stowarzyszeniu Studentów Prawa ELSA Opole oraz członkiem Parlamentu Studentów UO. Niedawno został powołany do Komisji przy Parlamencie Studentów Uniwersytetu Opolskiego do Spraw Wdrażania Ustawy 2.0.

Darek pasjonuje się pracą na rzecz społeczności akademickiej. Ćwiczy Krav Magę (hebr. dosłownie „walka w bliskim kontakcie”), czyli izraelski system walk przeznaczony do samoobrony. Grywa w szachy, ale jego największym zamiłowaniem jest angażowanie się w różnorodne przedsięwzięcia. Jak sam mówi: „Angażuję się, aby ubarwić sobie te 5 lat; żeby nie było to tylko chodzenie na wykłady, do domu – na wykłady, do domu, na ćwiczenia... Chodzi o to, żeby sobie te studia ubarwić; żeby miały one lepszy kolor. I też chodzi o to, żeby po pięciu latach, powiedzieć sobie: dobrze się ten czas przeżyło; że to były najlepsze lata twojego życia, a nie tylko, że się ten czas odbębniło, żeby mieć na końcu pracę magisterską”.

Już w czasach technikum chętnie udzielał się na rzecz szkoły – był skarbnikiem klasy, w III klasie pełnił rolę wiceprzewodniczącego samorządu szkolnego, a już rok później objął stanowisko przewodniczącego. Brał udział w przedstawieniach szkolnych i miał też okazję, by wykazać się wielką kreatywnością, podejmując wyzwanie napisania scenariusza do jasełek po śląsku – sam zagrał w nich jedną z ról. Przedstawienie zostało odebrane bardzo pozytywnie przez uczniów i kadrę nauczycielską. Został też wyróżniony na XXXI Wojewódzkim Przeglądzie Zespołów Kolędniczych w Lewinie Brzeskim. Był również organizatorem studniówki w swojej szkole.

Dariusz wybrał te studia z ciekawości, żeby zrozumieć, w jaki sposób funkcjonuje prawo oraz jak je zastosować w życiu codziennym. Ma świadomość, że niewielu ludzi rozumie trudny język prawniczy, dlatego pragnie im w tym pomagać. Prawo bardzo go fascynuje i uwielbia je studiować – lepszego kierunku studiów nie mógł sobie wybrać.

Nasz bohater nie lubi zbyt szybko wybiegać w przyszłość: czerpie radość z tego, czego doświadcza na co dzień: z pozytywnej energii, którą daje mu oddanie się społeczności akademickiej. W tym roku planuje zgłosić się do Nagrody Rektora będącej formą gratyfikacji działań, podejmowanych przez działaczy społecznych, aktywistów i organizatorów, związanych z Uniwersytetem Opolskim.



Paweł Rajski

W sport akademicki angażuje się od maja 2016 roku. Wtedy to za pośrednictwem koleżanki zostałem wolontariuszem AZS UO. Pomagałem w przygotowaniach i organizacji Regat Piastowskich. To była moja pierwsza styczność z AZS. Oczywiście od strony organizacyjnej. Wcześniej, od 2013 roku reprezentowałem uczelnię w III lidze opolskiej w Piłce Siatkowej. W drużynie grałem przez dwa sezony.

Następnie w październiku 2016 roku zostałem wybrany na członka zarządu Akademickiego Związku Sportowego Uniwersytetu Opolskiego. Rok później, w październiku 2017 roku, zostałem wybrany na stanowisko Wiceprezesa AZS UO. Funkcję tę pełnię do chwili obecnej. Sport na naszej uczelni pełni bardzo ważną rolę. Mało osób zdaje sobie sprawę jakie sukcesy święciła nasza uczelnia w przeszłości. Jest to przede wszystkim Siatkówka Kobiet oraz Badminton. Muszę również wspomnieć o Judo oraz Karate. Zadaniem AZS jest promowanie aktywnego stylu życia wśród społeczności akademickiej i lokalnej oraz rozwój sportu na naszej uczelni. Nasi studenci mogą uczęszczać na sekcje sportowe, reprezentować uczelnię na arenie ogólnopolskiej oraz międzynarodowej, a także promować uczelnię wśród społeczności lokalnej.

Dalszy rozwój sportu oraz coraz liczniejsze osiągnięcia wśród uczelni w Polsce to główny cel. Przykładem tego typu zaangażowania jest udział drużyny Uniwersytetu Opolskiego w Opolskiej Lidze Siatkówki. Studenci co niedzielę grają mecze począwszy od października, a kończąc na kwietniu. Pół roku grania, mecz co tydzień, poświęcenie dla drużyny i uczelni, ale przede wszystkim dla siebie.. Potwierdza to frekwencja na sekcjach sportowych. To sprawia, że mamy dużo pracy. Sport jest ważną częścią mojego życia. I chcę tym zarażać innych. Lepsze samopoczucie, umiejętność pracy w zespole, odporność psychiczna, zwiększona aktywność fizyczna to tylko niektóre z wielu zalet, które zapewnią nam uprawianie sportu. Poza tym trzeba trenować, aby osiągnąć jakiś sukces. Na sekcjach sportowych nasi trenerzy „wyłapują” młode talenty, które zaczynają swoją przygodę na Uniwersytecie Opolskim. Dlatego zależy nam na jak najszybszym dotarciu do młodych studentów, choć to dotyczy także tych starszych. Mogą oni uzupełnić skład naszej uczelni i ją reprezentować.



fot. Kwiat Jabłoni/Grzędziński

GRAJĄ „NIEMOŻLIWE”

STUDENCI, KTÓRZY CHODZĄ PÓŹNO SPAĆ. STUDENCI, KTÓRYM ZAMKNĘLI ULUBIONY KLUB. STUDENCI, KTÓRZY ZAŁOŻYLI ZESPÓŁ, A ICH NAZWA KOJARZY SIĘ Z ALKOHOLEM. MOŻNA RZEC: TYPOWI STUDENCI. TYLÉ ŻE ONI ZROBILI TAKŻE COŚ NIEMOŻLIWEGO. ICH DEBIUTANCKA PŁYTA „NIEMOŻLIWE” STAŁA SIĘ Z MIEJSCA JEDNYM Z NAJBARDZIEJ UDANYCH DEBIUTÓW OSTATNICH LAT, A BILETY NA ICH KONCERTY WYPRZEDAJĄ SIĘ BEZ WYJĄTKU. JACEK I KASIA SIENKIEWICZOWIE – RODZEŃSTWO TWORZĄCE ZESPÓŁ KWIAT JABŁONI OPowiedziało nam o tym, JAK DZIĘKI JABOŁOWI MOŻNA ODnieŚĆ SUKCES W MUZYCE.

Jesteście rannymi ptaszkami czy nocnymi markami?

Kasia: Ja zdecydowanie jestem nocnym markiem. Mój mózg uruchamia się około godziny 11 w nocy i wtedy umiem pracować, uczyć się, grać na pianinie najlepiej.

Jacek: U mnie podobnie. Bardzo łatwo się przestawiam, żeby chodzić coraz później spać i nie jestem już w stanie funkcjonować o 7 rano – to są dla mnie abstrakcyjne godziny.

Czyli tekst Waszej najpopularniejszej piosenki „Dziś późno pójdę spać” nie był przypadkowy i Wasz proces twórczy częściej pojawia się podczas godzin nocnych.

J: Tak, zdecydowanie. Teksty przychodzą często w nocy.

Z rodzeństwem pracuje się lepiej, łatwiej?

J: Nam się po prostu dobrze pracuje z Kasią, bo my długo już gramy ze sobą.

K: Od czasów gimnazjalno-licealnych. 10 lat przynajmniej już gramy ze sobą w różnych składach.

J: Nie jest to właśnie tylko kwestia tego, że jesteśmy rodzeństwem, ale też tego, że te lata pracujemy ze sobą muzycznie. Teraz z Bartkiem Łuczkiwiczem i Marcinem Ścierańskim, z którymi zagraliśmy pierwszy koncert w poszerzonym składzie, również nam się rewelacyjnie współpracuje.

K: Bardzo dobrze się dogadujemy i widownia też mówiła, że było czuć, że się bardzo lubimy.

Czy pomysł na poszerzenie składu na tę trasę był od początku powstania płyty czy pojawił się później?

K: Gramy na tej trasie razem z Bartkiem i Marcinem 8 z 18 koncertów – tam gdzie jest największa widownia.

J: Pomysł pojawił się dosyć wcześnie, bo już grając koncerty latem zeszłego roku, gdzie byliśmy we dwójkę i myśleliśmy poważniej o tym, by poszerzyć skład. Graliśmy do tej pory w klubach dla 300-400 osób, ale zdając sobie sprawę, że pojawią się także koncerty na większych scenach czy występy plenerowe, już ten pomysł był w fazach planowania.

Na Waszej płycie są też piosenki jak „Turysta”, którą stworzyliście w poprzednich składach np. Hollow Quartet. Zatem ile lat czeka się na „Niemożliwe”?

J: To jest dobre pytanie, bo najwcześniejszy utwór z tej płyty to właśnie „Turysta” i ja tę piosenkę napisałem około 5 lat temu. Zatem tyle to trwało.

Jaki jest najważniejszy przekaz tego albumu?

K: Na pewno chcemy przekazać, żeby bardzo żyć tu i teraz. Nie dawać się zwyciężyć pogoni za sukcesem i pogoni za tym, żeby być takim, jak mówią nam media. Bardzo dużo śpiewamy o próbie poczucia się zadowolonym z tego, co jest. Mamy też trochę tekstów onirystycznych, lekko absurdałnych. W tekstach Jacka pojawia się dużo koncepcji filozoficznych.

J: To, co powiedziała Kasia, to na pewno główne spoiwo, które najbardziej przewija się przez tę płytę. Jednak pojawiają się też inne, mniej abstrakcyjne wątki np. utwór „Wzięli zamknęli mi klub” jest o tym, że zamknęli mi mój ulubiony klub.

Wszystko kręci się wokół tego, żeby żyć chwilą, doceniać to, co jest. Bo to, co jest – jest niemożliwe.

Co czuliście po wydaniu tej debiutanckiej płyty?

K: Czuliśmy przez dłuższy czas, że coś, co wydawało się niemalże niemożliwe stało się prawdą. Dalej jesteśmy wzruszeni i to było bardzo ekscytujące. Ja nie do końca chciałam uwierzyć, gdy przyszły pierwsze kartony z płytami. Cały czas miałam uczucie, że może coś jednak na końcu się wywróci i to się nie uda. Jak poszliśmy do sklepu 1 lutego (dzień premiery płyty – przyp. red.) i stała tam ta płyta, to po prostu staliśmy w milczeniu i z zadowoleniem patrzyliśmy na tę półkę. To jest coś, na co pracowaliśmy latami, próbując także innymi składami i nie jest to takie proste, żeby to się udało.

Ruszyła niedawno Wasza trasa po Polsce promująca ten album. Co się zmieni teraz poza dawaniem autografów na płytach? Na premierowym koncercie mogliśmy usłyszeć też piosenki, których nie ma na płycie – czy to zapowiedź czegoś konkretniejszego?

J: Mamy parę piosenek nowych, które chcemy powoli wprowadzać do naszego repertuaru. Oczywiście myślami jesteśmy bardzo głęboko jeszcze w tej płycie i chcemy skupić się na jej promocji, ale to nie oznacza, że nie mamy już kolejnych pomysłów i tego, że coś się już gromadzi. Dlatego też nie chcieliśmy ograniczać się na koncertach tylko do 12 utworów, które są na płycie, bo też jest inny oddźwięk, gdy gramy piosenkę, która jest nieznaną.

Jesteście z Warszawy – całe życie spędziście w mieście?

J: Urodziliśmy się w Warszawie, jednak większość dzieciństwa spędziliśmy w małej, cichej miejscowości pod Warszawą i tam praktycznie do studiów się wychowaliśmy.

K: My jesteśmy tak w rozerwaniu. Bardzo się cieszymy, że możemy spędzać sporo czasu w domu rodzinnym, gdzie jest spokój i jest las, ale z Warszawą łączy nas przynajmniej pół życia.

Zadałem to pytanie w kontekście coraz większej popularności muzyki folkowej, także wśród osób z wielkich miast. Jak sami określiliście podczas koncertu również gracie „słowiańskie melodie” – skąd Waszym zdaniem bierze się ten fenomen?

J: Masz rację, uważam, że jest bardzo duże zapotrzebowanie na muzykę, która jest naturalna, która nawiązuje do folkowości. Szczególnie widać to wśród osób mieszkających w miastach, którzy są już zmęczeni tą muzyką elektroniczną, klubową i szukają jakiegoś oddechu. To tłumaczy powstawanie wielu zespołów podobnych do naszego, np. jest Tęskno, Misia Furtak i wiele innych zespołów. Chodzi mi tu o to, że ta muzyka jest oddechem, a nie takim dionizyjskim, elektronicznym wstrząsem. Wynika to z tego, że ludzie są zmęczeni biegiem i tego oddechu faktycznie potrzebują.

Czego słuchacie na co dzień?

K: Słuchamy bardzo wielu rodzajów muzyki – od popu poprzez country, jazz do muzyki poważnej, której u nas dużo. To, czego ja słucham ostatnio więcej, to na pewno Dave Matthews Band, wydali płytę w listopadzie, jest fenomenalna i słucham jej bardzo często.

J: Ja się ostatnio zainteresowałam Bassem Astralem i strasznie mi się to podoba. Jednak trudno mi odpowiedzieć ogólniej, bo nie mam takiego jednego ulubionego wykonawcy. Raczej krążę po wszystkich stylach muzycznych i przez to, że studiuje na Akademii Muzycznej, to muszę słuchać dużo muzyki klasycznej.

Graliście kiedyś koncerty uliczne? Gdzie Was można było spotkać?

K: Graliśmy na przykład na ulicy około 1,5 roku temu w Kazimierzu Dolnym. To były wakacje, wyjechaliśmy z naszym poprzednim składem Hollow Quartet na taką mini trasę. Po koncercie, od rana ustawiliśmy się na rynku, bez żadnego nagłośnienia i wtedy też mi się głos mocno zdarł. Bardzo się ludziom podobało, długo graliśmy i granie na ulicy jest korzystne.

J: Zależy od miasta, bo w Warszawie trudno jest grać na ulicy, ale Sopot jest takim miejscem, gdzie grajcy uliczni są bardzo pozytywnie odbierani.

To ja zapraszam do Opola, na ulicy Krakowskiej czy Rynku nieraz zdarza się, że koncertów obok siebie jest kilka, zwłaszcza w terminach około festiwalowych. A czy czujecie się już po wydaniu płyty popularni?

J: Czasami zatrzymują już nas na ulicy. Najbardziej widzimy to po reakcjach na Facebooku i Instagramie, że skala odbiorców rośnie praktycznie wykładniczo i to jest niesamowite. Również widzimy to po zainteresowaniu koncertami, praktycznie ich nie promujemy, a jednak się regularnie wyprzedają.

To praktycznie kwestia kilku miesięcy, gdzie Was zasięg zwiększył się bardzo skokowo.

K: Tak jest, początkowo nas to przerażało, nie radziliśmy sobie z mediami społecznościowymi, ale teraz już jest lepiej, w kilka osób dajemy radę.

J: Faktycznie nieraz jest trudno. Kiedy wydaliśmy płytę, to tych wiadomości nagle był milion. Trochę to nas przerosło, zwłaszcza jak się jeszcze robi inne rzeczy, studiuje itd. to ciągłe odpisywanie ludziom jest skomplikowane.

W piosence „Wzięli zamknęli mi klub” jest fragment „po zajęciach pójdę właśnie tam” – co studiujecie i jak Wam się to przydaje w tworzeniu Waszej muzyki?

K: Ja studiowałam muzykologię na Uniwersytecie Warszawskim - w zasadzie została mi już tylko do napisania praca magisterska. Studia na tym kierunku na pewno dały mi szerokie spojrzenie na muzykę, nauczyłam się, że w każdej muzyce może być coś dobrego. Mam ogromną ilość źródeł i inspiracji, więc jestem przekonana, że to musi się jakoś przejawiać w tym, jak piszę teksty czy podczas tworzenia aranżacji. To jest też dodatkowe wykształcenie, które mogę wykorzystywać między innymi prowadząc audycję w studenckim radiu Politechniki Warszawskiej.

Dobrze się gada z koleżanką po fachu.

K: Dokładnie tak.

J: A ja studiuje dwa kierunki. Jestem na piątym roku filozofii na Uniwersytecie Warszawskim oraz na trzecim roku kompozycji na Akademii Muzycznej, więc siłą rzeczy oba te kierunki są dla mnie ważne pod kątem tworzenia naszej muzyki. Zajęcia z kompozycji umożliwiają mi rozwój tworzenia własnych kompozycji, a jeżeli chodzi o filozofię, to dała mi dużo przemyśleń i inspiracji do pisania tekstów. Myślę, że każdy mój tekst, który pojawił się na płycie, jest mocno inspirowany moimi studiami filozoficznymi.

Ostatnie pytanie, którego nie miałem zadać, ale po koncercie poprosiło mnie o to tyle osób, że muszę. W kwestii nazwy zespołu – Kwiat Jabłoni – opowiadaliście jaka była geneza. Krótko: piliście to?

J: No właśnie nie, to jest taki paradoks. Faktycznie nie piliśmy tego wina, bo ono wyszło z produkcji na początku lat dziewięćdziesiątych, czyli kiedy się urodziliśmy.

K: Ale! Po jednym z koncertów nasz znajomy przyniósł nam jabłola własnej produkcji i był świetny. Mieliśmy okazję pić inne tanie wino jabłkowe i jest ono bardzo dobre.

J: Mamy też taki pomysł, żeby nawiązać z tym znajomym współpracę i może kiedyś wypuścić serię win „Kwiat Jabłoni”.

Dziękuję za rozmowę.



fot. Justyna Adamus

ROCK & UO

**Czy rock i poezja mogą iść ze sobą w parze?
Skąd wzięły się na naszym uniwersytecie zajęcia z muzyki rockowej?
Czy angielskiego można nauczyć się z piosenek?**

Na te oraz inne pytania odpowiedział nam dr Sławomir Kuźnicki z Instytutu Filologii Angielskiej.

Pisz o Panu: anglista, doktor literatury, tłumacz, krytyk literacki, poeta. A co jest najbliższe Pana sercu, w czym się Pan najbardziej spełnia?

Jestem człowiekiem, który lubi różnorodność. Nie powiedziałbym, że jest to jedna rzecz. Radość sprawia mi składowa wielu różnych elementów. Uwielbiam swoją pracę zawodową, ale też lubię rzeczy, które nie są związane z nią bezpośrednio. Co do bycia poetą, to nie wiem czy mogę powiedzieć, że to lubię. To nie jest kwestia lubienia, to jest kwestia bycia.

Napisał Pan kilka tomików wierszy. Skąd czerpie Pan inspiracje do swojej twórczości?

Trudne pytanie, bo tak naprawdę nie wiem czy istnieje jakakolwiek skończona odpowiedź na nie. Wszystko wpływa na człowieka, niezależnie od tego czy się jest poetą, czy się po prostu żyje i działa. A na mnie wpływają różne rzeczy, niezależnie od tego czy tego chcę, czy nie. Jeżeli słucham dobrej muzyki lub czytam dobrą książkę, to siłą rzeczy to na mnie oddziałuje, nie zawsze świadomie, ale jednak. Wiele rzeczy, które przychodzą mi do głowy, w tym kwestie poetyckie, to proces, który zazwyczaj odbywa się u mnie, kiedy jeżdżę na rowerze. Moja głowa potrzebuje takiego wysiłku. Wtedy jest bardziej chłonna.

Tworzy Pan poezję również w języku angielskim?

Nie. Jestem anglistą, ale moim pierwszym językiem jest język polski i nie wyobrażam sobie tworzenia poezji od razu po angielsku. Zdarzały mi się próby tłumaczenia tego na angielski, ale to nie były moim zdaniem udane próby. Wydaje mi się, że aby poezja istniała w innym języku, potrzebna jest jakaś taka współpraca między więcej niż jedną osobą. Na angielski mnie nie tłumaczono jeszcze.

Jeszcze?

Przyznaję, że na inne języki się zdarzało, na niemiecki i węgierski.

Ma Pan w planach publikację kolejnych tomików wierszy?

U mnie to trwa bardzo długo. Na koncie mam 4 książki z wierszami. Pierwsze dwie wydałem bardzo szybko, może nawet za szybko. Mam do nich dobry stosunek emocjonalny: są moje i widzę tam różne rzeczy, które są dla mnie ważne. Natomiast nie są to najlepsze, obiektywnie rzecz biorąc, wiersze. A kolejne tomiki wydawałem z przerwami około 10-letnimi. Jako, że ostatnia książka ukazała się w roku poprzednim, to mam jeszcze 9 lat, a ja się nie śpieszę.

Jak to się stało, że akurat wybrał Pan filologię angielską jako kierunek studiów?

Tak dokładnie to nie pamiętam. Wiem, że będąc na etapie szkoły średniej coś trzeba było wybrać, a w ramach języka angielskiego zbiegało się wiele różnych moich zainteresowań: język angielski jako taki, ale też muzyka, głównie anglojęzyczna. Z czasem zaczęła dochodzić do tego literatura anglojęzyczna.

Czy to dzięki muzyce i literaturze nauczył się Pan tak doskonale angielskiego?

Dzięki muzyce nauczyłem się języka angielskiego, tak. (śmiejch) Od tego zacząłem. Właściwie to zacząłem w 1 klasie liceum. Z jednej strony może to i źle, że tak późno, z oczywistych powodów, ale z drugiej może i dobrze, bo człowiek jest bardziej świadomy tego co robi, co zaczyna, bo chodzi przecież o proces, który nigdy się nie kończy.

Jakim był Pan studentem?

Pamiętam, że sesje to był czas największych imprez. Człowiek głupawki czasami dostawał. Wspólnie z przyjaciółmi z akademika, którzy również studiowali anglistykę, uczyliśmy się i odreagowywaliśmy później to uczenie. Wspólnie skakaliśmy po tapczanach jak już bezpieczniki się przegrzewały. A jakim byłem studentem? Ja zawsze wychodzę z założenia, że człowiek najczęściej korzysta będąc na zajęciach i dotyczyło to nawet zajęć, które bardzo mnie interesowały, a niekoniecznie np. wykładowca był wyjątkowo interesującą osobą. Nawet w takich sytuacjach stwierdzałem, że warto się wtedy zmusić i być na zajęciach. A jeżeli było tak, że

A kiedy zdecydował się Pan na doktorat?

Z doktoratem to jest zupełnie dziwna sprawa. Bezpośrednio po studiach magisterskich zrobiłem pierwsze podejście do doktoratu i wtedy z różnych powodów się to nie udało. I dopiero kilka lat po tym wróciłem do tego pomysłu i wtedy motywacja była większa. Wydaje mi się, że również większa samoświadomość miała na to wpływ. Od samego początku wiedziałem, że tym razem to się musi udać. W międzyczasie, byłem nauczycielem angielskiego w gimnazjum i liceum. Ale z literaturą kontakt nigdy mi się nie urwał, bo raz, że sam pisałem, a dwa, że przez jakieś kilka lat redagowaliśmy z przyjaciółmi pismo literackie „Red”. Dawno już nie istnieje, ale to też była spora frajda.

A czy zgodzi się Pan ze stwierdzeniem, że odbiega Pan od wizerunku standardowego wykładowcy?

Staram się. (śmiej) A tak serio: jaki jest wizerunek standardowego wykładowcy? Jeśli tak mówicie, to bardzo się z tego cieszę, ale ja niespecjalnie zabiegam o to, żeby w jakikolwiek sposób budować swój wizerunek. Po prostu zachowuję się tak jak czuję i jak muszę. A to czy są jakieś normy, do których należałoby dążyć i według nich postępować, nie interesuje mnie aż tak bardzo.

Dosyć znanym faktem jest to, że Pana zamiłowanie to muzyka rockowa. Co szczególnego Pan w niej znajduje?

Wszystko. Ja tak naprawdę jestem uzależniony od muzyki rockowej. Nieraz mówiłem, że muzykę rockową traktuję bardzo szeroko. Nie potrafiłbym powiedzieć co jednego i konkretnego w niej znajduję, bo właściwie jest w niej wszystko. Warto też wspomnieć o tym, że słucham muzyki bardzo różnorodnej, a ona odwziewa mi się dając to, czego w danym momencie potrzebuję.

Na Pana kursach dotyczących muzyki rockowej omawiani są zagraniczni artyści. A co Pan sądzi o polskich artystach? Czy ma Pan swojego ulubionego?

Oczywiście, bardzo lubię muzykę polską. Niekoniecznie to, co jest akurat na topie, bo mam kłopot z listami przebojów. Na przykład polecam wszystkim nową płytę zespołu Voo Voo, który uwielbiam od wielu lat i który nagrał album wybitny. Chociaż faktycznie tak się złożyło, że na tych kursach „Rock Studies” koncentruję się na wykonawcach anglosaskich albo anglojęzycznych i jednocześnie międzynarodowych, np. Björk. Ale coraz częściej myślę o tym, żeby uzupełniać programy tego kursu o polskich wykonawców.

Kiedy ma Pan czas słuchać tyle dobrej muzyki?

Ja cały czas słucham, przynajmniej, że również jeżdżąc na rowerze – oczywiście nie polecamy tego (śmiej). No i w domu; w domu właściwie cały czas. Nie wyobrażam sobie, żeby w moim domu panowała cisza. Pracuję też przy muzyce, oczywiście jest to inny rodzaj słuchania, bo wtedy muzyka jest tłem, które zapewnia mi jakiś rodzaj komfortu.

Stworzył Pan kurs pod tytułem „Women in Rock Music”, czy uważa Pan, że rockowe artystki są niedoceniane?

Zdecydowanie tak. Na pierwszych zajęciach zazwyczaj pytam studentów, jakie artystki rockowe znają i ich odpowiedzi nie są jakoś specjalnie porywające. To tylko pokazuje, że pomysł na taki kurs był dobry, bo należy stan wiedzy na temat kobiet działających w muzyce rockowej starać się zmienić. Ze względu na przeróżne uwarunkowania kulturowe, niezależne od kobiet, pod względem ilościowym jest ich mniej w muzyce rockowej. Natomiast w żaden sposób się to nie przekłada na kwestie jakościowe.

Mówimy o rocku głównie w kontekście literackim i kulturowym, a czy Pan osobiście gra na gitarze i tworzy muzykę?

Nie, ale dobrze, zwierzę się Państwu z czegoś. Niestety jeśli chodzi o instrumenty okazałem się totalnym beztalenciem. Natomiast w swoich młodzińskich, licealnych latach, kiedy już pisałem wiersze, to tak naprawdę pierwszą platformą do ich pokazywania światu był zespół, w którym nie powiem, że śpiewałem, ale – powiedzmy – używałem aparatu mowy (śmiej). Więc taki epizod też miałem.

Jak się Pan w tym czuł?

Z tego co pamiętam, to sprawiało mi to dużą frajdę. Ale z perspektywy czasu widzę, że dobrze się stało, że moje ścieżki zawiodły mnie w inne rewiry aktywności twórczej.

A może myślał Pan o tym aby przekuć Pana poezję...

Na serial telewizyjny? (śmiej)

To swoją drogą, ale w teksty do piosenek?

Nie wydaje mi się, że jest to możliwe. Z moimi wczesnymi tekstami może tak. W ich przypadku transfer wiersza na tekst piosenki odbywał się w miarę bezboleśnie. Natomiast nie wydaje mi się, żeby moje późniejsze wiersze mogły funkcjonować w ten sposób.

Czy ma Pan jakieś porady dla osób, które może chciałyby, ale boją się wyjść do ludzi ze swoją poezją?

Naprawdę nie wiem czy są takie osoby w obecnych czasach. Mam wrażenie, że w naszych czasach młodzi ludzie są szalenie asertywni, wręcz ekshibicjonistyczni. No ale jeżeli faktycznie tacy się znajdują, to jest pewna opcja: proszę wysłać swoje teksty do redakcji uniwersyteckiego pisma „Indeks”. Osobą, która decyduje o ich publikacji jestem ja. Tym bardziej więc zachęcam zainteresowane osoby, żeby zainteresowały się taką możliwością jeszcze bardziej.

Najlepszy koncert na jakim Pan był?

Hmm.. no tych koncertów trochę było. Chyba zawsze z sentymentem wspomina się ten pierwszy. W moim przypadku był to koncert Deep Purple w 1993 roku. Zespół wystąpił wtedy w swoim najoryginalniejszym składzie. Koncert odbywał się w jakiejś strefie industrialnej w Zabrze: stara, olbrzymia hala. Prawie nic nie było słychać, tylko jeden wielki hałas. Dodatkowo koncert był opóźniony o jakieś 4 godziny, bo zespół został zatrzymany na granicy. Ale wspomnienia są niesamowite.

Ma Pan jakiś wymarzony koncert, na którym chciałby Pan być?

Nie, nie wydaje mi się. Oczywiście są marzenia niemożliwe do spełnienia, na przykład koncert zespołu Queen. Tak na marginesie, byłem ostatnio na koncercie zespołu Queen + Adam Lambert. Potwierdziły się wszystkie moje obawy i wątpliwości, które miałem wobec tego projektu.

Czy w najbliższych latach na uniwersytecie będziemy widzieć jeszcze więcej rocka?

Nie wiem czy można więcej (śmiej). W tym momencie prowadzę dwa kursy ogólnouniversyteckie „Rock Studies” na ten temat, plus dla studentów anglistyki – „Women in Rock Music”. Rozwiązaniem byłoby chyba powołanie osobnego kierunku o takim profilu, ale tu znów wkraczamy w sferę marzeń.



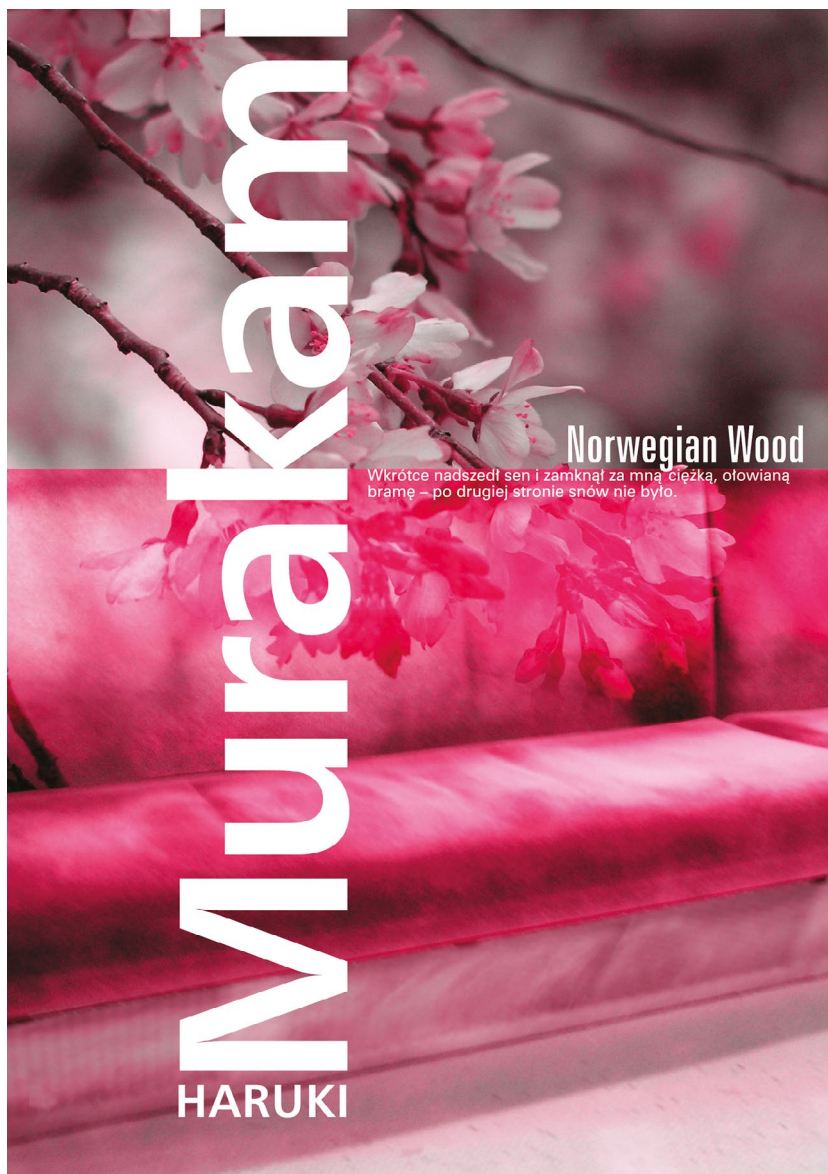
STREFA (DYS)KOMFORTU

Serial, dzbanek herbaty i cisza zamkniętego pokoju – każdy kto mnie zna wie, że bardzo cenię sobie swoją strefę komfortu. Jest to szczególnie trudne w dobie masowego nawoływania do opuszczenia tejże strefy. Robią to autorzy podręczników dotyczących tego, jak poprawić swoje życie, internetowi influencerzy oraz zwykli ludzie. Przysłuchuję się tym nawoływaniom i zadaję sobie jedno pytanie – dlaczego? Dlaczego mam opuszczać wszystko to, co jest mi znane? Moja strefa komfortu stanowi swoistą odskocznnię od codziennego zgiełku i wymagań świata zewnętrznego. Próby namawiania mnie do jej opuszczenia spotykają się z automatyczną reakcją, jaką jest bunt. Dlaczego więc powinniśmy opuszczać strefę komfortu? Odpowiedź jest prosta – żeby móc do niej wracać.

Z definicji strefa komfortu jest wszystkim, co w naszym życiu znane i bezpieczne. Im dłużej jednak w niej tkwimy, tym bardziej pozbawiamy się możliwości rozwoju. Życie jedynie w strefie komfortu porównać można do posiadania przestronnej willi, w której zajmujemy tylko jeden pokój. Pokój ten może być najwygodniejszym miejscem na Ziemi, ale nawet wtedy nie jest w stanie zaspokoić wszystkich naszych potrzeb. Początkowe zadowolenie bardzo szybko zamienia się w lęk przed nieznanym, a sama strefa staje się bardzo wygodną klatką. Aby tego uniknąć proponuję trochę mniej gwałtowne, od całkowitego opuszczenia strefy komfortu, podejście wyjścia i powrotu. W ten sposób dajemy sobie przestrzeń na rozwój bez całkowitego krytykowania tego co już nam znane. Czasami nawet jeden krok poza bezpieczną granicę otwiera nas na cały wachlarz nowych możliwości oraz doświadczeń. Od nas zależy jak długo zostaniemy na zewnątrz. Kto wie? Może z czasem część tych nowych przeżyć stanie się częścią naszej strefy komfortu, wzbogacając ją i poszerzając jej granice.

Dlatego właśnie w marcu, w miesiącu, w którym umierają ostatnie postanowienia noworoczne, nie traktujcie powrotu do strefy komfortu jako porażki. Złapcie oddech i spróbujcie jeszcze raz. Jeden krok naraz. Jeśli czytacie ten artykuł to ja właśnie wykonałem swój.

MOJE POCZĄTKI Z MURAKAMIM, CZYLI „NORWEGIAN WOOD”



Chyba nigdy z własnej woli nie sięgnęłabym po Murakamiego. Książka została mi jednak polecona przez przyjaciela, któremu ufałam, jeśli chodzi o pozycje książkowe i muzyczne. Stwierdziłam więc, że dam jej szansę. Naprawdę przypadła mi do gustu, choć od momentu, w którym Murakami pojawił się w księgarniach, byłam do niego uprzedzona. Nie wiem, z jakiego powodu ani przez kogo, ale przeczuwałam, że pisze jakieś romansidła, głębokie powieści o ludzkich uczuciach, których pewnie i tak nie zrozumiałabym, bo nie jestem wystarczająco dojrzała.

Jak wielkie było moje zdziwienie, gdy pokochałam tę książkę po pierwszych paru stronach. Muszę zaznaczyć, że początki zazwyczaj nie są zbyt ciekawe i mało kogo wtedy wciąga powieść, ale na mnie wywarła naprawdę ogromne wrażenie. Niby nie działo się nic konkretnego, można nawet stwierdzić, że zawierało nudą i obojętność, ale ujrzałam w tym coś, co mnie zaintrygowało, dzięki czemu chciałam brnąć dalej. Tak więc czytałam.

Nie wiedziałam, że aż tak bardzo przywiążę się do postaci. Praktycznie ciężko było mi o nich nie myśleć w czasie, gdy książki nie czytałam, a podczas pochłaniania lektury bardzo wyraźnie ich widziałam – co zdarza mi się rzadko, praktycznie wcale. Silnie utożsamiałam się z jedną z głównych – chyba mogę tak o niej powiedzieć – bohaterek, a mianowicie Naoko. Zaskakiwała mnie za każdym razem, chociaż mogło się wydawać, że działa prosto, niemalże według jakiegoś z góry ustalonego schematu. Przedstawiona została jako postać wątpliwa, właściwie zagubiona w świecie i własnych uczuciach, których wyrażanie przychodziło jej z trudnością. Jednakże po pewnym czasie, choć praktycznie była tą samą osobą, bardzo się zmieniła, właściwie pozytywnie. Wtedy już dobitnie wiedziałam, że pałam do niej sympatią.

Główny bohater - Watanabe, jest postacią okropnie, ale to okropnie specyficzną. Z pozoru niby normalny chłopak, ale z czasem, gdy coraz bardziej zagłębiamy się w jego psychikę, życie i sposób, w jaki postrzega świat i konkretne osoby widzimy, że nie jest zwykłą, schematyczną osobą. Kocha i adoruje w równie odmienny sposób, przynajmniej według mnie. Momentami dziwiłam się, jak szybko udało mu się z kimś nawiązać tak dobry kontakt i zapalać takim silnym uczuciem do osoby, którą ledwo poznał. Potem jednak dobrze widać, jak to wszystko wygląda i z czego się wzięło, więc wszelkie wątpliwości znikają.

Bardzo zasmuciła mnie śmierć Naoko. Rozmawiałam parę razy z przyjaciółką podczas czytania książki i przez przypadek powiedziała coś, czego na szczęście domyśliłam się po fakcie. Jednak tak czy inaczej przeczuwałam, że coś się stanie i... jej śmierć mocno mną wstrząsnęła. Musiałam odłożyć książkę i przez bite paręnaście minut zalewałam się łzami. Nie wiem właściwie, czemu uderzyło to we mnie z tak ogromną siłą. Przywiązałam się do Naoko, lecz nie sądziłam, że tak się to na mnie odbije. W każdym razie cieszyłam się, widząc dorosłe reakcje Watanabe na to, co się stało i czytając o tym, co czuje i czemu. Bałam się, że skupi się na innej dziewczynie i ucieknie do niej, by zapomnieć, ale zachował się wspaniale. Niestety znowu wpleciony został wątek stosunku, jako wspomnienie, co trochę zepsuło nastrój.

Tak czy inaczej – książka była bardzo klimatyczna. Mogę z pewnością polecić ją osobom, które często zastanawiają się nad tym, co ma w życiu sens, a co nie. Jak i co właściwie powinniśmy czuć, gdzie, kiedy i dlaczego. Można odnaleźć siebie, jak i całkowicie zgubić – wybór należy do czytelnika. Każdy jednak ujrzy kawałek siebie w tym dziele, i to jest w nim takie magiczne.



POZNAJ MOJE OPOLE/MEET MY OPOLE

5# MUZEUM WSI OPOLSKIEJ

Muzeum Wsi Opolskiej zostało utworzone 14 listopada 1961 roku za sprawą Stanisława Bronicza, czyli jednego z ówczesnych kierowników Muzeum Śląska Opolskiego w Opolu. W 1966 roku muzeum otrzymało pełną samodzielność i statut, natomiast w 1970 roku zostało oficjalnie otwarte dla zwiedzających. Według początkowych planów, muzeum miało znajdować się na Wyspie Bolko, jednak ostatecznie zdecydowano się na okolice wsi Bierkowice, którą obecnie zalicza się do dzielnicy Opola. Po oficjalnym otwarciu w dalszym ciągu podejmowano kolejne inwestycje na tym obszarze. W 1971 roku wzniesiono chałupę z Kozub oraz młyn wodny ze Starych Siołkowic, dwa lata później podjęto się próby odbudowy kościoła z Gręboszowa. W międzyczasie posadzonych zostało wiele drzew owocowych, zadbano również o wyposażenie chałup, które stanowią obecnie część bogatej ekspozycji. Obecnie na terenie muzeum istnieje 49 obiektów. Na terenie muzeum odbywają się także liczne imprezy o tematyce ludowej oraz folklorystycznej, np. Jarmark Wielkanocny.

5# THE OPOLE VILLAGE MUSEUM

The Opole Village Museum was established on November 14, 1961, thanks to Stanisław Bronicz - one of the directors of the Opole Silesia Museum in Opole back then. In 1966, the museum received full independence and statute, while in 1970 it was officially opened to the public. According to the initial plans, the museum was to be located on the Bolko Island, but finally it was decided to the area near village of Bierkowice, which is now counted as the Opole district. After the official opening, further investments in this area were continued. In 1971, a hut from Kozub and a water mill from Stare Siołkowice was erected, two years later attempts were made to rebuild the church from Gręboszów. In the meantime, many fruit trees were planted, and the equipment of the cottages was also taken care of, which is now part of the rich exhibition. Currently, there are 49 facilities in the museum. It also hosts numerous folk and folkloric events, such as the Easter Market.



DOBRY, ZŁY I PIESKI

Narracja służy nam do dokładniejszego opowiadania historii, pozwala na nadanie charakteru postaciom występującym w danym tekście kultury, a nam, jako odbiorcom, pozwala łatwiej wsiąknąć w świat przedstawiony. Bez niej zostajemy z nudnym podręcznikiem do historii, opisującym suche fakty, bez krzty fantazji i uroku.

Łatwymi obiektami do obserwacji działania narracji są przeróżne show, oparte na rywalizacji wcześniej wybranych uczestników, ponieważ producenci owych są w stanie zawczasu ułożyć obsadę tak, by odpowiednio zmontować relacje uczestników w czasie obróbki materiału zgromadzonego podczas nagrywania. Celem takiego zabiegu jest nakłonienie widza do sympatyzowania konkretnych uczestników oraz wzbudzenia niechęci w stosunku do innych. Może się to wydawać zwykłą manipulacją, ale należy również pamiętać, że tak zwane „competition shows” istnieją dla rozrywki widza. Zwyczajnie lepiej ogląda się grupę ludzi, którzy gotowi są poderżnąć sobie gardła, niż siedzących na tyłkach i rozprawiających o wyższości wilgotnych chusteczek nad papierem toaletowym. To po prostu nie sprzedaje się zbyt dobrze ludziom, którzy sami chcieliby móc się na kimś wyżyć.

Jednym z najpopularniejszych sposobów używania narracji jest tak zwany „Protagonist, Antagonist & Underdog”, czyli, przekładając to na prostszy język, „gdzie dwóch się bije, tam trzeci korzysta”. To bardzo prosty mechanizm, zakładający istnienie trzech rodzajów ról osób na ekranie. Protagonistą jest osoba, która dostaje najwięcej czasu ekranowego, ma pozytywne relacje z resztą obsady i występuje na przedzie całej konkurencji. Antagonista otrzymuje zazwyczaj najgorsze kawałki materiału. Jeżeli powiedział coś złego o innym uczestniku, montażyści zgrają cały dostępny materiał, byleby przedstawić go w jak najgorszym świetle. Czasami jednak skutek jest odwrotny i osoba, której widz miał nie lubić, staje się jego ulubieńcem. *Underdog* jest w tym wszystkim dzięki kartą. Z jednej strony wydaje się mieć najmniej doświadczenia, często nie wierzy w siebie, a z drugiej potrafi zadziwić wszystkich, zostawiając konkurencję w tyle. Teoretycznie role są z góry przypisane, jednak i tak ostateczne słowo mają producenci. Za ogólny przykład niech posłuży taki „Top Model”. Nikogo jakoś bardzo nie interesuje, kto wygra, ale od początku widzowie potrafią wyróżnić 3 dziewczyny. **A** jest protagonistką, dziewczyną z dowolnego miasta, ma zwykłą rodzinę, jest ładna, zdolna, dobra z niej modelka. **B** jest antagonistką, damą z wielkiego miasta [najpewniej Warszawy], która przyszła pierwszy raz na casting i od razu została wyciągnięta z tłumu przez jurorów. Chamska dla wszystkich, ale w sumie jednak zdolna. **C** jest naszym *underdogiem*, szarą myszką z małej wsi, która kocha swoich rodziców, zgłosiła się do programu, bo rodzina jej powiedziała, żeby spełniała marzenia, więc da z siebie wszystko, nawet jeżeli wie, że najpewniej padnie ofiarą głośniejszych dziewczyn. Cała ta trójka będzie przeć do przodu, by wyłonić się z cienia pozostałych uczestniczek, które są tylko mięsem armatnim. Bardziej szczegółowym przykładem jest czwarty sezon *RuPaul's Drag Race*, którego TOP3 stanowiły: Sharon Needles, *underdog*, Phi Phi O'Hara, antagonistka, i Chad Michaels, A.K.A. „*I'm Cher bitch*”. Sharon była nieakceptowana przez scenę artystyczną w swoim mieście, na skutek czego wątpiła w swe umiejętności, a już zwłaszcza w kontakcie z takimi osobowościami jak Willam, Latrice Royale albo właśnie Chad. Phi Phi była ofiarą przemocy w rodzinie, co spowodowało problemy z zaufaniem, a dalej z agresją, i w połączeniu ze współzawodnictwem miało na nią negatywny wpływ. Był tam również Chad, który od lat profesjonalnie naśladował Cher i z dumą parł przed siebie. Wygrała Sharon, ponieważ nic tak nie działa na ludzi, jak *underdog* nie do zdarcia, natomiast Phi Phi zaczęła otrzymywać groźby z powodu swojego zachowania. Producenci spełnili więc swoje zadanie.

Magią narracji montażyści potrafią stworzyć naprawdę niezwykłą fikcję, którą łatwo pomylić z rzeczywistością. Kto wie, może konflikt Mickiewicza i Słowackiego też był tylko machinacją narracji innych, tak by Norwid mógł zostać *underdogiem*?

Wycinki z Prasy

Nie ma chmur, nie ma chmur

Jak informuje portal „**Dziennik naukowy**”, badacze z California Institute of Technology odkryli mechanizm, który prawdopodobnie dodatkowo napędza przemiany klimatyczne na Ziemi. Okazuje się, że rosnący poziom dwutlenku węgla w atmosferze może powodować rozpraszanie się chmur typu stratocumulus. Są one odpowiedzialne za chłodzenie ziemskiego klimatu poprzez odbijanie nawet do 7% światła słonecznego. Całkowite rozproszenie stratocumulusów może nastąpić w wyniku potrojenia się stężenia CO₂ w atmosferze. Według prognoz, dojść do tego ma za mniej więcej sto lat.

Zatem nisko unoszące się chmury będą w XXII wieku należały do przeszłości. Znając życie, istnieją kolejne zjawiska klimatyczne, których nie jesteśmy świadomi, a które okażą się jeszcze bardziej komplikować całą tę sprawę.

Czy jeden sondaż wiosnę czyni

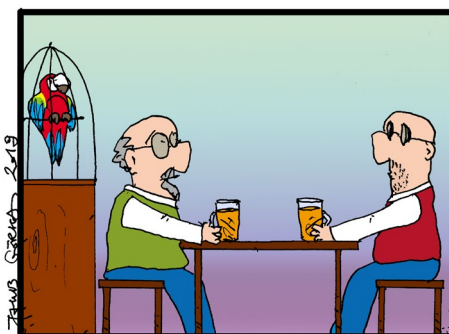
Portal „**OKO.press**” opublikował wyniki badań społecznych, z których wynikać ma, że większość Polaków chce, żeby katecheza odbywała się nie w szkole, a w parafiach. 52% ankietowanych lutowego sondażu woli, żeby to Kościół, a nie państwo, zajmował się przeprowadzaniem lekcji religii. Autorzy artykułu omawiającego wyniki podkreślają też, że jeszcze w ubiegłym roku tylko 39%, czyli mniejszość, Polaków w sondażu „Gazety Wyborczej” chciało, żeby lekcje religii odbywały się w salkach katechetycznych. Najgorętszymi zwolennikami lekcji religii w szkole są zwolennicy PiS-u i Kukiz'15, zaś najczęściej obecnie obowiązującemu rozwiązaniu oponują zwolennicy partii Roberta Biedronia „Wiosna”.

Ciekawe, jaki wpływ na takie przepływy sondażowe mają kampanie medialne nagłaśniające przypadki pedofilii w Kościele czy chociażby popularne produkcje filmowe typu „Kler”, który cieszył się rekordową publicznością – ponad pięć milionów widzów. Mimo wszystko nic nie zastąpi racjonalnej debaty, czy lekcje religii są czymś, na co całe społeczeństwo wspólnie powinno się zrzucić w podatkach.

Przecież lepszy rydz niż nic

Portal internetowy „**Radia ZET**” donosi, że polscy naukowcy w świetle opublikowanego niedawno raportu **European Network of Postdoctoral Associations** nie mogą cieszyć się wysokimi wynagrodzeniami za swoją pracę. Okazuje się, że w naszym kraju ludzie nauki zarabiają nawet do 5 tys. euro rocznie, co daje ok. 1700 zł miesięcznie. Współautorka badań Maria Ribeiro powiedziała: „Wiedzieliśmy, że Europa to bardzo zróżnicowany kontynent, szczególnie pod względem ekonomicznym. Nie sądziliśmy jednak, że różnice w wysokości stawek będą aż tak drastyczne. Patrząc na polskie i czeskie zarobki doktorantów, myślałam początkowo, że do wyników ankiety wkraść się błąd”. Do tego należy dołożyć fakt, że spora część pracowników naukowych, pomimo pracy etatowej, znacznie przekracza zakładany czas pracy.

Taka jest nasza rzeczywistość – ludzi o specjalistycznej wiedzy nie nagradza się współmiernie do ich umiejętności. Zniechęcaniem ludzi do nauki niczego dobrego się nie osiągnie, ale w tym kraju myśli na pokolenia do przodu i kto w ogóle jest odpowiedzialny? Nie ma liderów z prawdziwego zdarzenia.



„Może i potrafi mówić, ale są to rzeczy
pozbawione głębszej treści”

TEKST/KOMIKS: JAKUB GÓRKA



fot. kadr z filmu „Arktyka(2018)”

NADZIEJA UMIERA OSTATNIA

Kiedy dochodzi do tragedii, a nasze życie znajduje się na łasce często bezlitosnej natury bardzo ciężko jest się odnaleźć w nowej rzeczywistości i dzień za dniem stawiać czoła myślom, które próbują odebrać nam ostatni bastion - nadzieję. „Arktyka” w reżyserii Joe Penna zabiera nas w podróż po bezlitosnej krainie wiecznego śniegu pełnej czarno-białych barw, przeszywającego chłodu, lodu i skał. W tym momencie wszystko to schodzi na dalszy plan, a głównym celem naszego głównego bohatera staje się bezwarunkowe przetrwanie oraz szereg momentalnie karkołomnych decyzji, które mają wpływ na dalszy los rozbitka w poszukiwaniu pomocy.

Głównym bohaterem, któremu towarzyszymy na bezkresie Arktyki jest protagonista Overgard, który, (na co wskazuje fabuła filmu) jest rozbitkiem, a zarazem jedynym ocalałym pilotem z lotniczej katastrofy na tych terenach. W filmie nie ma jasno podanej informacji ile czasu minęło od katastrofy samolotu, jednak jego samoorganizacja oraz sumienne odliczanie czasu na poszczególne czynności sprawia iż możemy pokusić się o teorię że spędził na Arktyce przynajmniej kilka tygodni, jak nie miesięcy. W tym czasie zdążył przygotować prowizoryczne łowiska ryb, gigantyczny napis SOS wykopany w śniegu oraz kilkadziesiąt razy nadać radiowy komunikat wzywający pomocy. Właśnie te ostatnie działania sprawiły że choć na chwilę nadzieja odżyła. Początkowo złapany sygnał, później wyłaniający się helikopter zza wzgórze. Niestety, natura rządzi się swoimi prawami przez co w konsekwencji zamieci śnieżnej helikopter się rozwija, natomiast Overgard ratuje pilotkę. Ranna, potrzebująca pomocy, staje się dla głównego bohatera motywacją do dalszej walki o wyrwanie się z arktycznego piekła.

Skala wyzwania i trudu z jakim się musi zmagać główny bohater świetnie została przedstawiona przez reżysera w ujęciach z dalekiego planu, które prezentują Overgarda na tle pięknego, a zarazem mrocznego krajobrazu często ukazującego swoją ciemną stronę. Poprzez wąską obsadę filmu głównie bazującą na postaci granej przez Madsa Mikkelsena, który chcąc, nie chcąc cały ciężar „kreowania” filmu musiał wziąć na siebie, za sprawą budowy całej gamy różnorodnych emocji bohatera oraz wręcz genialnego przełożenia survivalowych odczuć postaci na ekran wzbogacając filmowe odczucia widzów pozwalające integrować się z głównym bohaterem. Bez wątplenia to jedna z jego najlepszych filmowych ról, której mało kto by się podjął, a co dopiero tak genialnie zagrał. Jak sam aktor wspominał w wywiadach: rola protagonisty Overgarda była prawdziwym wyzwaniem i jedną z jego najtrudniejszych filmowych wcieleń.

Film w reżyserii Joe Penna bez wątpienia możemy zaliczyć do filmu z kategorii: „udany debiut”. Reżyser już na samym początku obrał swoją niepowtarzalną drogę, wizję, którą skrupulatnie i konsekwentnie realizował przez cały film. „Arktyka” to kawał dojrzałego, skandynawskiego kina o którym szybko z pewnością nie zapomnimy.



fot. Grzegorz Gajos

PRZECZYTAJ TEN DZIENNIK

**Czym jesteśmy w obliczu historii?
Ile warte jest nasze istnienie?
Jak zareagujemy na apokalipsę?
Kiedy nadejdzie nasza mała apokalipsa?**

„Dziennik Anne Frank” w reżyserii Mariana Pecki to spektakl grany od niedawna w Opolskim Teatrze Lalki i Aktora. Czym jest? Pierwsza myśl po jego obejrzeniu – świadectwem Holocaustu. Ale czy nie będzie to zbyt komercyjne? Czy można użyć tego sformułowania w stosunku do tragedii, która spotkała tyle milionów ludzi? Tak, nie można zaprzeczyć, że dziennik młodej dziewczyny to świadectwo zdarzeń II wojny światowej. Należy napisać, że spektakl jest rzetelnym oddaniem realiów tamtych czasów. Ale co jeszcze pokazuje i jak to robi?

Losy żydowskiej rodziny są dla mnie tłem do pięknego obrazu dziewczyny pragnącej żyć. Żyć – nie umrzeć, żyć – kochać, żyć – cieszyć się tym życiem. O ile wszystkim znane są bohaterskie czyny młodych ludzi, którzy poświęcali swoje życie za ojczyznę (kto nie pomyślał w tym miejscu o Rudym, Alku i Zośce, niech wyśle wiadomość!), o tyle na lekcjach historii i we wspomnieniach rozmywiają się informacje o codziennym życiu młodych ludzi, którzy nie byli przecież różni od współczesnych.

Na scenie poznajemy Annę Frank przede wszystkim jako energiczną i lekko postrzeloną dziewczynę. Wszystko przeżywa z nieskrywaną egzaltacją, raczy nas opowieściami o swoich szkolnych przygodach, przestrzega przed złośliwymi nauczycielami i zapewnia, że od tego momentu wszystko skrupulatnie zacznie zapisywać w otrzymanym na urodziny dzienniku. Wydawać by się mogło, że po ogłoszeniu wybuchu wojny, po konieczności ucieczki z rodzinnego Frankfurtu, po zamieszkaniu w starym magazynie, osobowość Anne zmieni się, a nowe sytuacje, w których przyszło jej się odnaleźć, sprawią, że będzie skupioną, zamyśloną osobą. Nic bardziej mylnego. Anne oczywiście zauważa wojnę i jej konsekwencje, cierpi z powodu swojej żydowskiej „inności”, ale nie zatracą radości życia. To właśnie najbardziej urzekło mnie w postaci odgrywanej przez Annę Wieczorek – energia i radość. Aktorka miała wypisaną na twarzy każdą emocję – czasem przejawskrawioną, ale czyje emocje nie są przejawskrawione w wieku kilkunastu lat? I tym sprawiła, że przez cały czas trwania spektaklu skupiałam się tylko na niej. Jestem Annie Wieczorek ogromnie wdzięczna, że pokazała mi Annę Frank jako dziewczynę, która niewzruszenie notuje wszystko, co spotyka ją i jej rodzinę w tak trudnym czasie wojny. A moja wdzięczność jest tym większa, że dostrzegam w niej młodą osobę, która swoimi uczuciami chce obdarzyć wszystkich wokół. Skupiam się na jej ruchach, słucham o tym, jak opisuje Petera - chłopaka, w którym się zakochała - obserwuję, jak przeżywa tę miłość i widzę, jak momentami walczy z dopuszczeniem do siebie myśli, że to wszystko mogłoby nagle się skończyć. Patrzę i zostaję bez słów, bez myśli, ale z ogromnymi emocjami, gdy spektakl się kończy.

Na pewno jesteście gotowi, by przeżyć tę historię. Nie – iść, obejrzeć i wyjść, ale przeżyć z aktorami i przeżywać jeszcze przez długi czas. Idźcie do teatru dwa razy. Pierwszy – by skupić się na Annie Frank, na wojnie i tle historycznym. Drugi – by zobaczyć dziewczynę, która beztrudnie kocha życie i nauczyć się tego od niej. A później sięgnijcie po jej dziennik – świadectwo życia i śmierci.

TEKST: KINGA OPOLONY



O KOBIECIACH, CZYLI MÓJ ULUBIONY SPORT

Różnice między nami są tak okrutne, że wciąż chcemy się nimi karcić. Faule na porządku dziennym, doping obecny od wieków.

Od zarania te felietony były o sportowym zabarwieniu – nawet jeśli tematyka sportowa gdzieś odpłynęła, to i tak sportowo było zawsze w chociaż najmniejszym stopniu. Tym razem o sporcie, który każdego mężczyznę interesuje najbardziej. Kobiety.

Baśka miała fajny biust – to wiemy od „Wilków”. Notabene była to pierwsza piosenka, której nauczyłem się od początku do końca na pamięć. Tak bardzo, że mając 6 czy 7 lat zaśpiewałem ją przed rodziną podczas Wigilii, z zabawkową gitarą w rękę. No ale najważniejszy w tej dygresji był przekaz piosenki napisanej przez Roberta Gawlińskiego. Autor w tekście wymienia ponad 15 imion dziewczyn, z którymi, powiedzmy, przeżywał pewne perypetie. Jednak żadna cecha nie przypadła mu do gustu – ostatecznie wygrał „fajny biust” i wyborem podmiotu lirycznego została tytułowa „Baśka”.

Jak to właśnie jest, że pomimo pochodzenia z Wenus konie kraść chcą z nimi umowni Marsjanie? W ogóle ja się pytam kto to wymyślił ten podział?! Mars ma tyle jako planeta wspólnego z płcią męską co Panoramix z trzeźwością. Pierwszy w dziejach bimbrownik – Jezus był później ze swoją Kaną – regularnie przygotowywał magiczny wywar dla swoich galijskich pobratymców. Dzięki jego napojom można było odlecieć w kosmos, częściej w historii robili to ci z Marsa, jednak napój w przypowieściach był także zmieniany – tak, by miał inne działania, niekoniecznie dzisiejszych energetyków. Można rzec, że historia Asterixa i Obelixa oraz pozostałych Galów to jeden z pierwszych przypadków dopingu – zatem to problem, który istnieje w sporcie od tysięcy lat.

Kobiety są bardziej infantylne, one muszą takie być – wszak wychowują dzieci, nawet na starość, zostają babciami, dzięki czemu odkrywają drugą młodość, zostało nawet naukowo udowodnione, że dzięki temu biologicznie stają się może nie młodsze, ale wolniej się starzeją. Długotrwale utrzymana forma w sporcie jest nieoceniona.

Kobiety. Jedne niczym dzwonek na telefon – istnieją, ale zawsze wyciszone. Drugie jak pakiet premium na niektórych aplikacjach – są atrakcyjne, ale mało kto po nie sięga.

Mówi się, że kobiety są jak wino. Kopia po pewnym czasie nawet najbardziej zaprawionych zawodników. Przewaga żółtych kartek jest na ich koncie, jednak te czerwone chętniej rozdają już one same.

Wszyscy – i kobiety i mężczyźni – w tym sporcie bardzo potrzebujemy uzupełniania energii izotonikami typu miłość. Zaufanie to woda, bez której długo nie pociągniemy - nawodnienie w sporcie to podstawa. Ludziom często wydaje się, że gdy kochasz kogoś, to wystarczy, aby razem żyć długo i szczęśliwie. Miłość jednak podobna jest do rośliny, która albo wzrasta i kwitnie, albo więdnie i umiera. Wszystko zależy od tego, co z nią robimy. I czy używamy dopingu.

Otwartość i szczerowość uczuć, mówienie drugiej osobie o swoich uczuciach do niej, wspieranie, chwalenie to słońce, niezbędne roślinie do tego, by była silna i odporna. Wewnętrzne dziecko każdego z nas pragnie akceptacji, zwycięstw, przytulenia. Przytulanie, dotyk... dotyk to jeden z najsilniejszych przejawów energii. Dotknąć kogoś to dotknąć jego duszy. Dlatego, gdy jest nam źle, jesteśmy obrażeni, mówimy „nie dotykaj mnie”. Pamiętaj, aby zawsze przytulać człowieka, z którym jesteś w drużynie. Bo praktycznie każdy sport jest kontaktowy, a ten już zwłaszcza. Oby obyło się bez kontuzji.

TEKST: MAREK WIENCH



*Wnikliwość pozwala dostrzec to,
co niewidoczne na pierwszy rzut oka.*

Be a game changer

Zmień perspektywę. Dołącz do PwC Service Delivery Center i zdobywaj doświadczenie zawodowe już podczas studiów. Połącz pasję do języka niemieckiego z pracą w obszarach:
#WsparciaAudytu #ProcesówKsięgowych

Oferujemy:

- Różnorodne możliwości rozwoju
- Przyjazne i wspierające środowisko pracy
- Kulturę ciągłego doskonalenia



| *Service Delivery Center*

Zmiana zaczyna się na: **www.pwc.pl/sdc**